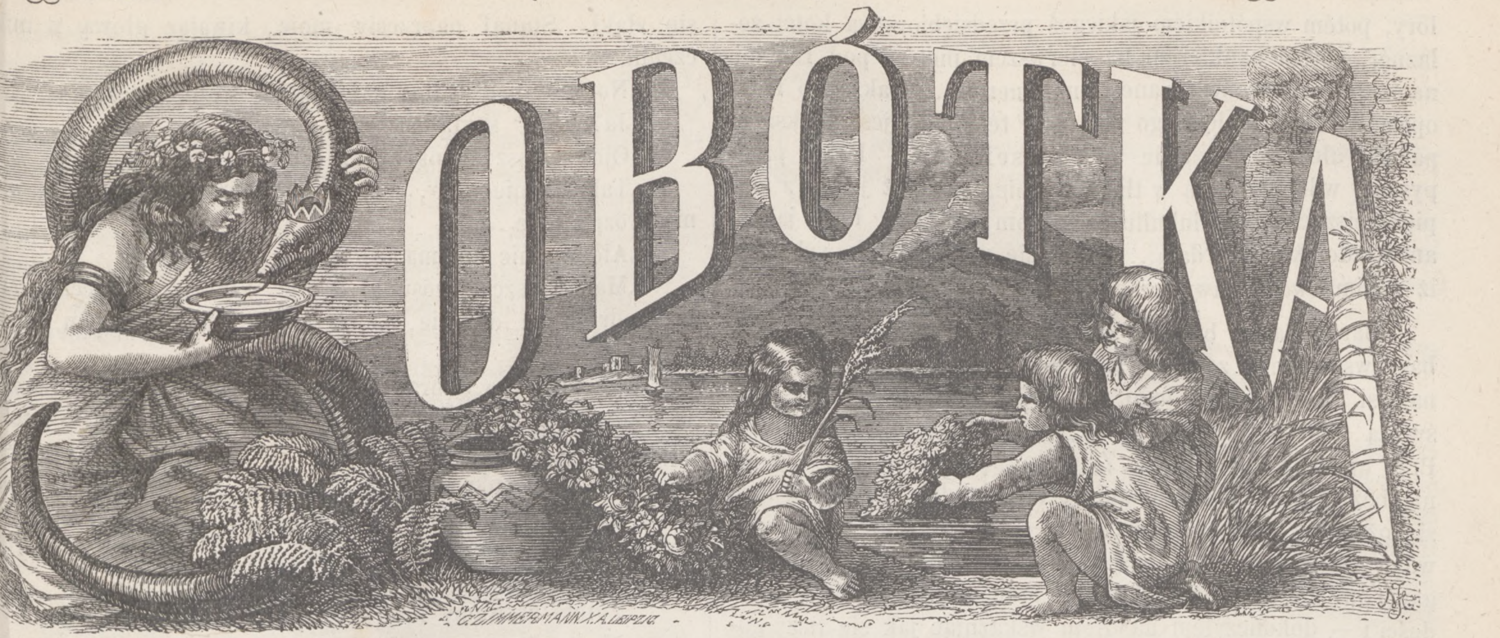
Nr. 21. Poznań, dnia 20. Maja 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Julian wyjechał dla zdania egzaminów i pisania swéj lekarskiéj rozprawy, któréj miał bronić publicznie — w pałacu panowała cisza przedburzowa, Ostójski też musiał na wszelki wypadek tak swe interesa uporządkować, aby go sprzedaż majątku i możliwe wyjście z dzierżawy, nie zastały nieprzygotowanym.

Stary hrabia siedział w oficynie, hrabina płakała w pałacu. Carita po niejakim czasie objawiła swéj dobrodziejce postanowienie założenia pensyi w miasteczku. Zdawało się iż ex-kapelan poddał jéj tę myśl, gdyż za nauczyciela do kilku przedmiotów miała go zamówionym i do ogólnego nadzoru nad zakładem. On też pierwszém urządzeniem się zajmował. Na wiadomość o tém stara hrabina podniosła oczy, popatrzyła na włoszkę, pokiwała głową i spytała ją, czy niema może zamiaru wstąpić późniéj do jakiego zakonu? Carita zarumieniła się mocno, a po chwili szepnęła, iż za nic ręczyć nie można jeśli przyjdzie natchnienie. Na tém się skończyła rozmowa. Wkrótce potém do nowo zajętego domu przeniosła się włoszka, przybyła jeszcze jedna podżyła już nauczycielka, wzięta z poręki ks. Wikarego i rozesłano ogłoszenie o otwierającéj się pensyi, wedle planu i metody innych, klasztornych urządzonéj.

Po wyjeździe hr. Edwarda kilkanaście dni upłynęły bez żadnéj o nim wiadomości, ojciec tém był niespokojniejszy, iż na nim ostatnie swe pokładał nadzieje. Nareszcie jednego dnia hrabina bilecikiem oznajmiła mężowi, że miała mu coś do udzielenia z listu Edmunda. Hrabia pospieszył do pałacu. Na stoliku zastał list otwarty, który syn, więcéj do matki czując zaufania, do niéj adresował... Mniéj więcéj brzmiał on jak następuje — „Niechciałem nic pisać o sobie dopóki by się coś stanowczego nie trafiło, o czém by donieść było warto. Szczęściem przybywszy do stolicy zastałem tu niczém nie popsute pole, gdyż o naszém nieszczęściu wiadomość jeszcze była nie doszła. Przez dni kilka musiałem odwiedzać moich znajomych, aby wpaść na myśl jakąś, na drogę. Miasto zastałem prawie puste, wszyscy jeszcze byli u wód lub na wsi. Już prawie zwątpiłem o powodzeniu, gdy mi się nastręczył baron Sauer. Ani hrabia ani mama kochana nie możecie znać barona Sauer, gdyż i on i jego baronowstwo świeżéj jest daty. Wyrósł on, wychował się, dojrzał, wygładził się, spotężniał i przywdział tytuł na giełdzie. Niepotrzebuję objaśniać, iż należy do najstarszéj na ziemi arystokracyi, bo pochodzi z pokolenia Lewi. Pamiętają go ludzie buchhalterem w podrzędnym domu wekslowym, potém handlarzem akcyi i papierów, potém w maleńkiem sklepiku gdzie pieniądze zmieniał i sprzedawał wa-

lory, potém wspólnikiem jakiegoś przedsiębiorstwa kolei żelaznéj, potém bankierem na pierwszem piętrze pod Lipami, naostatek... baronem Sauer i milionerem... Jakże go mam opisać? Im z mniejszego wyszedł, tém dziś jest większym panem, ale co się zowie grand seigneur. Pałac przepyszny, willa cudowna w thiergartenie, ekwipaż jeden z najpiękniejszych, stół lukullusowy, dom otwarty, bale jakich ambasadorowie nie dają... Otarł się przytém tak wybornie, iż w nim owego dawnego buchhaltera ani znać...

Baron Sauer był mi zawsze bardzo przyjaźnym. Zobaczywszy mnie, zaprosił na obiad męzki. Żona jego była na wsi. Pojechałem, było nas kilku z wyższego tutejszego świata dobrych chłopców radych się poweselić i pośmiać. Przy obiedzie paplaliśmy. Zgadało się o ożenieniu, jam się nie bez celu wyrwał, że mnie celibat nudzi, i że gotów bym się ożenić... Baron podchwycił — na prawdę? — naprawdę. Niemasz hrabia przesądów? — Żadnych, ale wymagam od żony wykształcenia jéj stanowi właściwego, młodości i — dokończyłem na dłoni wskazując jak się liczy gotówkę. Baron się roześmiał. Cela va sans dire? rzekł. Chcecie się żenić, bierzcie Filipinę Sauer, mojego zmarłego brata siostrę... Widzieliście ją, ładna jak aniołek a raczéj jak szatanik, uczona jak Rahel... i ma trzykoć sto tysięcy talarów posagu... Wiem że jesteście katolikiem i że dla was, sama przyzwoitość wymaga aby żona była katoliczka — ale o to bardzo łatwo — nam wszystko jedno... Filipinę umyślnieśmy zachowali i wychowali... nie dając jéj żadnéj konfesionalnéj edukacyi, aby sobie religię wybrać mogła... Gdyby się trafił bankier izraelita — mogłaby zostać w wierze ojców, jeśli protestant junkier, gotowa być protestantką,— a gdy się katolik podoba — będzie katoliczką.

Uśmiechnął się poczciwy Sauer, znajdując nadzwyczaj praktycznem wychowanie synowicy — przyznaję się, że mnie to wszystko wielce także nęciło. Widywałem już pannę Filipinę, jest ładna, a raczéj śliczna bruneteczka maleńka, nos tylko nieco za rasowy... rączka i nóżka cudne, oko dyamentowe, żywa, dowcipna... i trzykroć sto tysięcy talarów.

„Dobijemy targu", rzekłem, „byle nie długo myśleć..."

„Seryo."

„Zupełnie."

„Mam pisać by żona ją przywiozła?"

„Proszę."

Podaliśmy sobie ręce... Zgoda stanęła; Sauer zatarł ręce... Mnie się w głowie kręciło. Powróciwszy do domu zasmuciłem się trochę. Te stósunki! stósunki! pokrewieństwo z Mendelsohnami i Beerami a zatem i Meyerbeerenmami mogą smakować... mnie com nie muzykalny... ah! tam zaraz w miejscu powinszowali mi wszyscy, a ktoś zręczny przysięgał się iż dawno we mnie domyślał się miłości dla panny Filipiny. Nieprzeczyłem. Nazajutrz gruchnęło to po Berlinie, nie ręczę, żeby Sauer sam bojąc się mego wycofania, nie roztrąbił. Zatelegrafowano moje oświadczenie do Ostendy.

Po tym pamiętnym mi obiedzie upłynęło dni cztery, jednego ranka otwierają się drzwi i bez anonsowania wchodzi do mnie Baron, ale kwaśny i z wywróconą twarzą, ażem się zląkł. Stanął naprzeciw mnie, kiwając głową w milczeniu.

„No, no, podszedłeś nas hrabio, wcale zręcznie..."

„Ja? jak?" spytałem.

„Ojciec wasz zbankrutował?!"

„Tak źle nie jest", rzekłem, „interesa są ciężkie, ale nie zrozpaczone..."

„Ale wy nic nie macie?"

„Mamy jeszcze stósunki i imię, które coś przecie warte", odrzekłem dumnie, „a ja siebie też nawykłem nieco cenić..."

„To wszystko dobrze", odparł Baron, „Filipina poszła by za was, gdybyście złamanego nie mieli szeląga, umielibyśmy was i imię spożytkować. Idzie o to że ożenienie w chwili gdy bankrutujecie, rzuca na nas cień niemiły, jakobyśmy kupili was sobie na licytacyi. Tego nie chcemy. Interes nie był zupełnie to jasny, trzeba nam było powiedzieć wszystko..."

„Zatém zrywamy interes", rzekłem kłaniając się.

„Nie możemy zerwać", odparł siadając Baron, „ale go musiemy ułożyć tak, aby się to inaczéj wydawało. Możecie się wszakże pochwalić, iż potrafiliście wpędzić w matnię Barona Sauer, który nikomu nigdy jeszcze łapać się nie dał."

Pomimo nieukontentowania i chwilowego nieporozumienia układ przyjdzie do skutku. Sauer rozgłosić potrafił żeśmy z panną od roku byli zaręczeni.

Widzę że hrabia i mama się może wzdrygnie, wystawiając sobie moją Filipinę cale inaczéj niż jest. Muszę więc dodać, że oprócz piękności, oprócz najwyborniejszego wychowania, jest rozumna, dowcipna i umiejąca się tak zastósować, iż dla niéj żaden świat, żadne towarzystwo nie będzie strasznem. Niech ludzie sobie co chcą szepcą po cichu, mnie to jest obojętnem. Hrabia jeśli można, dobrze by zjechał tu a wesele przyspieszyć by się dało..."

W przypisku do tego listu, hrabia Edmund wyszczególniał jaką oprócz posagu, panna Filipina przyniesie wyprawę i że samych sreber ma za piętnaście tysięcy talarów i t. p.

Hrabia wysłuchał czytania listu z rezygnacyą chłodną. Ani ów, ani żona jego nie widzieli w tém małżeństwie nic tak nadzwyczaj niestósownego. Żadne też z nich nie przypuszczało nawet, iż Abraham Helig kupiec i dzierżawca arędy w miasteczku w blizkiem był w pokrewieństwie z hrabiną przyszłą, jak się to późniéj okazało...

Hrabina przywodziła mnóstwo przykładów podobnych we Francyi, hrabia wiedział o przybliżonych do tego w Anglii wypadkach. Westchnęli oboje i stary pan nazajutrz pocztę zamówił do stolicy. Honor i syn był ocalony — ale co z rodzicami stać się miało? Nieśmieli nawet mówić o tém, choć oboje czuli, że zostając na łasce syna, byli w położeniu dosyć — przykrem. Tymczasem życie szło trybem dawnym, dwór i wydatki zmniejszone być nie mogły. Hr. Edmund tak się spieszył, iż gdy ojciec nadjechał, już znalazł dzień ślubu naznaczony i przepyszne litografowane karty de faire part, gotowe do rozesłania w imieniu rodziny.

Baron Sauer przyjął jego Ekscelencyą z wielkiemi honorami, dał obiad pyszny na którym był jeden minister

i dwóch generałów, pokumał się z nim serdecznie i przygniótł go do ziemi swą poufałością. Wyprostowany, chłodny, ale trupio-blady hrabia przeszedł przez te wszystkie próby ognia, rachując iż cierpliwością zdobędzie sobie modus vivendi przyzwoity, będąc na łasce syna i synowéj.

W przeddzień ślubu postanowił rozmówić się z Edmundem, który zmięszany trochę oświadczył mu iż — baron Sauer wziął na siebie ułożenie wszelkich interesów pieniężnych i że hrabia z nim o tém będzie musiał pomówić jako z opiekunem jego przyszłéj żony. Hrabia prawie to wolał, jednak kwaśno mu było. Tegoż dnia napisał bilecik do barona, który się zjawił zaraz dla pogadanki.

Wielkiemu panu ciężko przychodziło otrzeć się o drażliwą materyę, ale — musiał.

„Kochany baronie“, rzekł, „wiesz jak z łaski plenipotentów i złych ludzi z którėmi mieliśmy do czynienia, majątek nasz został nadwerężony. Przyjdzie wam go okupić pieniędzmi synowéj, ale cóż my dla siebie wymówić mamy?“

Bębniąc po stole palcami i wpatrując się w swą tłustą rączkę Sauer począł, nie spojrzawszy nawet na hrabiego.

„Les bons comptes font les bons amis! Ja także pragnąłem o tém z kochanym hrabią pomówić. Sprawa mojéj pupilli i synowicy nie moja, wymaga z méj strony nadzwyczajnéj baczności... cudzy interes, panie hrabio — cudzy — rzecz święta!“

Westchnął.

„Jużcić na to nie pozwoli nasza familia, aby hrabia i hrabina zostali bez przyzwoitego utrzymania, ale — my wiele dać nie możemy... Tam na majątku niema nic... nic...“

„Panie baronie, przy dobrém gospodarstwie... będzie przewyżka...“ zawołał hrabia.

„No! toż trzeba żeby mąż coś miał! To co my ofiarujemy, to tylko z serca dobrego i przez szacunek dla państwa... ale my wiele dać nie możemy. Filipina ma trzykroć sto tysięcy talarów. Co one zrobią włożone w ziemię? Ziemia to hipoteka doskonała ale interes kiepski. Pięć procentów! co to jest! pięć procentów! Co to jest za lokata, kiedy ona dziś z papierów ma piętnaście! Cóż oni będą mieli dochodu? Piętnaście tysięcy talarów! Co to jest dla nich piętnaście tysięcy talarów? Co oni mogą z tego dać?“

Baron zatrzymał się, hrabia zagryzał usta aż do krwi niemal.

„Ja jestem człowiek praktyczny“, rzekł Sauer, „niech pan popyta, że mnie tu wszyscy znają za praktycznego człowieka... Proszę wierzyć. Hrabina mama niechaj zostanie przy dzieciach, po co jéj jeździć i tracić osobno... na małe potrzeby, mając wszystko w pałacu, czy to wiele na wsi się wydaje! Ah, tysiąc talarów to świat!! Co się tyczy pana hrabiego, my wiemy, że pan przywykł jeździć, że panu to do zdrowia potrzebne... Teraz wszystko tanieje... no! trzy tysiące talarów??“

Popatrzał — hrabia słuchał z oczywa spuszczonemi w ziemię, nie mówiąc słowa, nie zdając się mieć ochoty odpowiadać.

„Z cudzéj kieszeni mnie trudno szafować“, dodał Sauer, „no! a na prawdę niema z czego! Jeśli się interesa poprawią późniéj, a majątek oczyści...“

Hrabia jeszcze nie odpowiedział i głowę trzymał spuszczoną. Bankier nie wiedział co to ma znaczyć, ale nie śmiał być natrętnym. Począł palcami grać na stole i wpatrywać się w nie osłupiałym wzrokiem.

Panowało milczenie przykre. Nagle hrabia wstał, wyprostował się, głowa do góry i rzekł sucho:

„Cóż robić! co robić!“

Napróżno Sauer starał się jakąś obojętną zawiązać rozmowę, nie było sposobu, stary milczał z dumą która się targować ani chciała ani myślała — Sauerowi przykro było może iż się to tak urwanym sposobem skończyło, po chwili jednak pożegnał się i wyszedł. Nazajutrz miał nastąpić ślub w kościele Św. Jadwigi, gdyż chrzest panna młoda kilką dniami wprzódy odbyła... Niewielka garstka zaproszonych świadków towarzyszyła obrzędowi. Ze strony pana młodego był sam jeden ojciec obwieszony orderami, z gwiazdą i w mundurze kawalerów Bożego grobu, który jest wspaniały. Pokrewni panny patrzali z pewną dumą że takiego pięknego szczupaka złapać sobie potrafili. Baron Sauer miał wprawdzie kilka pięknych dekoracyi, ale takiego przepysznego munduru!! zazdrościł...

Po odbytym obrzędzie na obiad zaprosił do siebie baron całe towarzystwo składające się z dwudziestu kilku osób. Uczta była prawdziwie królewską i tak kosztowną iż goście mimowoli jedząc rachowali ile to talarów na nią wyszło. Przepych w srebrze, w porcelanie, w winach niezrównany. Sauer jadał w dni powszednie, gdy żony nie było, a huis clos, obiady z traktyeru mu przynoszone po 15 sgr., ale gdy należało — wystąpić — występował pańsko.

Hrabia stary wielki znawca win i delikatesów utrzymywał, że takiego wina Bordeaux nie pił od lat dziesięciu... Sauer zapraszał naiwnie swych gości. „Proszę tego skosztować“, mówił do krewnych, „pan w domu tego nie dostaniesz...“

Późną nocą jakoś skończyła się nareszcie Baltazarowska uczta owa i wszyscy wstali weseli i szczęśliwi... Całe towarzystwo odprowadzało na kolej państwa młodych, którzy wedle zwyczaju przedsiębrali miodowy miesiąc spędzić w szwajcarskich gospodach. Mieli tylko wstąpić na godzinę do majątku, aby hrabinéj zaprezentowała się synowa i natychmiast ruszyć w drogę. Stary hrabia jechał z niemi także. Na stacyi kolei czekał jeszcze kosz szampana ze złotemi szyjkami... wypito zdrowie... zaświstała lokomotywa ironicznym jakimś głosem — i... w świat...

Trzykrotne — hoch! rozległo się po za wagonem... w którym hrabina Filipina z ogromnym bukietem uśmiechała się mężowi naprzemian i staremu hrabiemu, już drzemiącemu po trudach biesiadnych.

(C. d. n.)

FRYDERYK SZOPEN.

Sztuki piękne w ogóle dzielą się na dwie wielkie klasy, na tak zwane plastyczne i idealne. Do pierwszych zaliczają architekturę, snycerstwo i malarstwo, bo wszystkie wlewają myśl swoją w materyał wydatny, namacalny. W dziale zaś idealnym zamieszczają muzykę, poezyę i wymowę, bo tu myśl przedewszystkiem panuje nad materyałem, którym jest głos i ton. W tym dziale idealnym, bezwątpienia sztuką najwięcéj idealną jest muzyka, bo chociaż wszystkie podnietę głównie biorą z uczucia, jednak muzyce przed innemi zwykliśmy je przypisywać i w niem uważać treść i potęgę jéj tonów. „Muzyka", mówi filozof nasz, „jest jak człowiek niemowa, z przepełnionem sercem żalu lub radości, z żywą wyobraźnią, obrazów pełną — nie mogąc tego wszystkiego wymówić, wypowiedzieć, on cały staje się żywym obrazem myśli swoich, żywym uczuciem uczuć swoich i w tym stanie niemego uniesienia, dziwne, acz niewyraźne robi na nas wrażenie. Tak samo działa muzyka. Tony jéj są niemowne, a jednak pełne znaczenia; nic nie wypowiadają, a jednak porywają z sobą; nie płaczą, ani się śmieją, a jednak cała rdzeń duszy w nich się rozpłynęła i rozrzewniły lub rozweseliły nas. I ta to nieoznaczoność uczuciowa sprawiła zapewne, że muzykę wzięto za wyraz samego uczucia."

„Najłatwiéj tego charakteru dopatrzeć, gdzie sztuka jest jeszcze naturą. Pacholę wiejskie nuci sobie pieśń wesołą, bo odmłodniona natura, ciepło, co już lato zapowiada i kwiecie drzew owoc wróżące przejmuje radością i mimo wiedzy i woli jego, tworzy w duszy marzący ideał co się śpiewem wypowiada. Gdy to same pacholę widzisz w polu w późną jesień, okryte płachtą, którą się od burzy i wichru zasłania, i wtenczas także nuci — nuty wrzaskliwe, jakby przygłuszyć chciały wycie wiatru, a melodyą w której się już uczucie minionego szczęścia wyraziło, odpierać się zdaje doskwierające zimno i dokuczliwą nędzę. Usnęło w kołysce schorzałe dziecię; matka mu nuci pieśń smutku, ale w téj nucie kwili nadzieja, ów słodki pocałunek przyszłości, dający otuchę, że dziecię wróci do zdrowia. Tam, gdzie się boleść serca w tony rozpłynęła, przestała już być boleścią i melodyą przyniosła ulgę zbolałéj duszy."

Podaliśmy te przykłady dla stwierdzenia, że muzyka z uczucia, jak ze strumienia Lete napić się musi wody i być wiernem jego odbiciem.

Muzyka będąc objawem odcieni wzruszeń ludzkich, będąc mową przeznaczoną do wyrażenia uczuć, musi w każdym narodzie nosić piętno, czyli typ, jaki wywarł w usposobieniach narodu klimat, a jednocześnie jaki wywarły warunki, z życia społecznego i politycznego tego narodu wynikające. Przeto, jakkolwiek mowa muzyki, kosmopolitycznym jest językiem, nie idzie zatém żeby wszędzie jedne i też same wzruszenia i myśli wyrażać miała. Przeciwnie, z tego co dopiero powiedzieliśmy wynika, że muzyka w swoim toku, to jest w swoim rytmie, tchnąć musi życiem narodu, życiem które mu jest wrodzone i które jego odpowiada naturze. Bo każdy naród ma inne dzieje, a na tém dziejowém tle inne snuł myśli i zapragnął przyodziać je w poezyę słowa i dźwięku, w sposób sobie tylko właściwy. Ztąd téż muzyka kraju każdego, jeśli ją jeszcze echo obcych dźwięków nie przygłuszyło, jeśli jeszcze swojéj pierworodności nie straciła, mieści w sobie, albo mówiąc wyraźniéj ma w treści swojego życia dwa główne pierwiastki. Jeden który wynikł z charakteru narodu; drugi który się wytworzył z natury i rodzaju myśli, jakie w przestrzeni życia tego narodu zajmowały go i nim władały. Oba te pierwiastki w jednę całość jednocząc się, są przyczyną że chociaż wspólnym organem muzyki, jest jeden i ten sam język, jednak w każdym kraju jest ona sobie właściwą, oddzielną i odrębną. O téj niezaprzeczonéj prawdzie przekonywają odrębne typy muzyki, jaką jest muzyka włoska, hiszpańska, niemiecka, słowiańska i t. d.

Wśród szczepów słowiańskich, uposażonych do muzyki niepoślednim darem, Polacy od niepamiętnych czasów posiadali sobie właściwe, z charakteru narodowego wynikłe formy, jakie ich muzyka przybrawszy, w nie się zamknęła i tak się do dziś dnia przechowała. Te formy stanowią: Polonez, mazur, obertas czyli kujawiak, krakowiak, dumy ukraińskie, pieśni ludowe czyli gminne i pieśni kościelne. Że nie forma sama, lecz że melodye każdéj z tych form, oddzielném tchnieniem i życiem są napiętnowane, zbyteczném byłoby dowodzić, gdyż samo poczucie to wskazuje. Są to więc źródła, z których świeżość czucia i myśl narodową zaczerpnąć można i dla własnéj przyswoić duszy. Że te formy mogą służyć za materyał dalszego rozwinięcia muzyki, że przez wyższe szczeble dadzą się te formy przeprowadzić, to nam w swoich genialnych utworach dowiódł i niezatartą tego pamięć zostawił Szopen. Szopen jako muzyk-poeta, z pełną rodzinnego czucia duszą, właściwą sobie utworzył frazeologię muzyczną; własne przybrał w nią myśli i tak trafnie przyodział, że wśród najzawilszéj całości jego utworu, wśród form kosmopolitycznych, t. j. muzykalnemu światu wspólnych, czujesz tętno rodzinnéj pieśni, jakby już znanéj, któréj rozlegające się echo, nieraz po ojczystéj słyszałeś ziemi. Szopen dziełami swemi uderzył w ten tajemniczy kamerton w którego dźwiękach pieśń polska po raz pierwszy świat oblatuje. Zdaje mi się więc że jeżeli dla kogo to dla Polaka poznanie życia prywatnego i artystycznego tego mistrza o którym mówią że arfę Dawida w spadku otrzymał, jest pełne interesu i znaczenia.

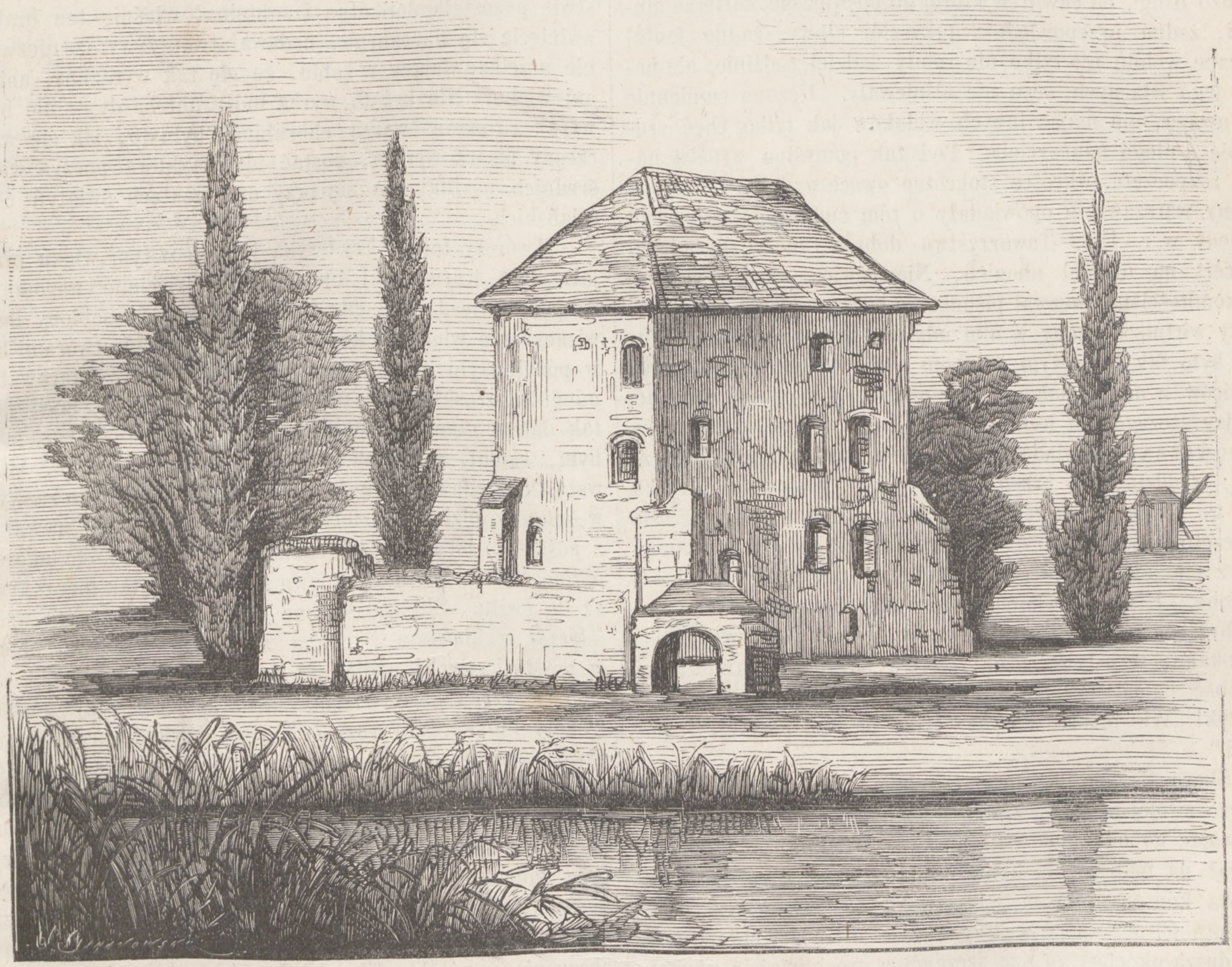
Ojciec Fryderyka, Mikołaj (Chopin) Szopen urodził się w Nancy r. 1770 w chwili kiedy jeszcze tradycya księcia Lotaryngii a poprzednio króla polskiego, Stanisława Leszczyńskiego w pamięci tamtejszych mieszkańców w całéj sile żyła. Szopen przyszedłszy do lat młodzieńczych, jak wielu z jego współrodaków, olśniony przymiotami króla filozofa, zapragnął poznać ten naród, któremu Leszczyński panował. Sposobność w krótce się nadarzyła, a korzystając z niéj przybył do Warszawy w chwili kiedy nieszczęśliwy

naród zebrawszy resztki sił moralnych, przygotowywał się do radykalnego przeobrażenia swego politycznego bytu, w chwili rozpoczęcia sejmu czteroletniego.

Czy z tęsknoty, czy też może z innych widoków, po kilku latach pobytu, razy dwa próbował opuścić Polskę, lecz na samym jéj progu, na granicy, oba razy zapadł w ciężką chorobę, niepozwalającą mu dalszéj odbywać drogi i gdy później pytano, dla czego nie myśli o powrocie do Francyi, zwykł był odpowiadać: „Próbowałem dwa razy to uczynić i o mało życia nie straciłem; widać że przeznaczenie chce ażebym pozostał już w Polsce; zgadzam się więc z wolą Opatrzności i zostaję.“

Był to człowiek wykształcony, łatwo mógł więc znaleźć w Warszawie przyzwoite utrzymanie. Szkoła liceum Warszawskiego, szkoła aplikacyjna i akademia duchowna, otworzyły mu swoje katedry, z których dochód uwolnił go od opieki i materyalnéj pomocy możniejszych.

W roku 1806 przebywając na Kujawach w zamożnym domu hrabiów Skarbków, jako nauczyciel zasłużonego w literaturze Fryderyka Skarbka, poznał tam pannę Justynę Krzyżanowską, i wkrótce połączył się z nią węzłem małżeńskim. Bóg pobłogosławił ten związek trzema córkami i synem, któremu dano na chrzcie imię Fryderyk tj. imię ojca chrzestnego hr. Fryderyka Skarbka. Było to r. 1810 w Żelaznéj woli, wiosce o sześć mil od Warszawy odległéj i dziedzicznéj w ówczas hrabiów Skarbków. Dziecina była niezmiernie wątła, wrzaskliwa, tkliwa a przytém niesłychaną żywością charakteru i zadziwiającą bystrością obdarzona. Współcześni mówią, że jeszcze w niemowlęctwie prawie okazywał Fryderyk płaczem drażliwość lubo nie bolesną, na dźwięki muzyczne, a kiedy się patrzył na ludzi swemi dużemi i pełnemi wyrazu oczkami, zdawał się obserwować, zdawał się śledzić najmniejszy odcień ich charakteru; dla tego też talent naśladowania i udawania innych w późniejszym wieku do wysokiego stopnia doskonałości doprowadził. Pod okiem rodziców dziecina rosła, a ponieważ organizm jéj był wątły i chorobliwy, cała uwaga i starania familii zwróciły się na zdrowie. Wtenczas to zapewne zrodziła się w duszy Fryderyka, ta troskliwość i ta wrażliwość, na wszystko co innym cierpienie sprawiało, wrażliwość którą



Zamek w Gołańczy.

się w całém życiu odznaczał. Prócz tych oznak żywości i tkliwości, niczém więcéj przyszłego geniuszu niezdradzał. Zwykle widziano tę drobną istotę cierpiącą i uśmiechniętą, zawsze cierpliwą i bawiącą się. Kochano go więc powszechnie za te przymioty, sądząc że się całem sercem oddawał i skryte tajniki duszy im otwierał. Nauki szły Fryderykowi z niezmierną łatwością, muzyka zaś najsilniejsze na nim czyniła wrażenie; to też już w dziewiątym roku życia naukę jéj rozpoczął, pod kierownictwiem Czecha, nazwiskiem Żywna, namiętnego zwolennika Sebastyana Bacha. Początki te odebrał i skorzystał z nich z całą sumiennością, według przepisów klasycznych. Prawdopodobnie przez czas bardzo długi, od chwili w któréj go poświęcono karjerze muzyki, żadna przepowiednia przyszłéj sławy, żadne fantastyczne widoki nie tylko nie robiły nadziei rodzinie, ale nawet jego własnych oczu nie olśniewały. Uczono sumiennie i z uwagą, nie mając innych widoków jak tylko chęć zrobienia z niego nauczyciela. Pod tak pomyślną wróżbą nauka rozpoczęta, wkrótce stokrotne owoce wydała. Ówczesne salony warszawskie opowiadały o tém cudowném dziecięciu i kiedy w r. 1818 Towarzystwo dobroczynności urządzało koncert na dochód ubogich, Niemcewicz wraz z innemi znakomitościami, wezwał piśmiennie poczynającego rok dziewiąty wirtuoza, ażeby w nim udział przyjąć zechciał. Trudno było tak łaskawym prośbom odmówić, po naradzie więc rodziców z nauczycielem zgodzono się propozycyę przyjąć. Między szczegółami koncertu, na którym grał kompozycyę Gyrowetza, opowiadają współcześni następującą okoliczność: Godzin parę przed rozpoczęciem, postawiono Frycka (tak go bowiem powszechnie w domu nazywano), na krześle i poczęto ubierać. Frycek przedewszystkiem zadowolniony był z pięknego kołnierzyka, jak mu na ciemny surducik włożono. Kiedy po skończonym koncercie, na którym matka być nie mogła, wzięła syna w objęcia i okrywając pocałunkami, wypytywała się, co też najwięcéj publiczności podobać się mogło? bez wahania odpowiedział, iż jego kołnierzyk! „Wie mama, wszyscy tylko na mój kołnierzyk patrzyli.“

Skoro Szopen już lata dziecinne mijać zaczął i kiedy w grze swojéj znaczne zrobił postępy, troskliwy ojciec nie odrywając go od nauk w liceum warszawskim pobieranych, wezwał na nauczyciela kontrapunktu, Elsnera, ówczesnego rektora konserwatoryum warszawskiego. Znany z zacności i talentu Elsner spostrzegłszy wyższe zdolności chłopczyny, całą duszą ukochał go i ze szczególną troskliwością obznajmiał z zawiłemi zasadami kontrapunktu. Nieraz zwracano uwagę Elsnera, że Szopen kierując się porywami własnéj fantazyi, pomiatał i odstępował reguł w muzyce przyjętych. „Dajcie mu pokój“, zwykle odpowiadał Elsner, „prawda że nie idzie on drogą zwyczajną, ale i talent jego jest niezwyczajny. Nietrzyma się on ściśle metody utartéj powiadacie, bo ma własną, i to właśnie jeżeli się nie mylę, stanowić będzie jego wyższość i oryginalność, jakiéj dotąd nikt nie posiadał.“ Z téj odpowiedzi widzimy w jak wysokim stopniu nauczyciel przeświadczony był o geniuszu swego ucznia i jakie drogi wybierał by iść mógł najwłaściwszą sobie koleją. To też Szopen jeżeli przyszłą swą wielkość zawdzięcza przyrodzonym darom, niemniéj winien ją temu, który z całą miłością i bezinteresownością prawdziwego artysty, dary te pielęgnować i rozwijać umiał.

Umysłowe zdolności wszechstronnie kształcącego się Fryderyka zdumiewały wszystkich. Żywy, dowcipny, płodny w pomysły, łatwy w wysłowieniu i piśmie, wszystkie te przymioty każą wnosić, że gdyby Szopen działalność swego geniuszu skierował na inne pole, np. pole literatury twórczéj dar jego wzniósłby się do wysokości, do jakiéj płody muzyczne doszły. Łagodny, czuły, wykwintny we wszystkiem, już w 15 roku życia łączył w sobie wdzięk młodzieńczości z powagą wieku dojrzałego. Budowa tak jak i w dzieciństwie pozostała delikatna i subtelna, właśnie ten brak rozwinięcia się fizycznego, nadawał twarzy wyraz niezwykły, nie przedstawiający w sobie, że się tak wyrazimy, ani płci ani wieku. Nie był to wyraz mdły ani hardy — nie był to wyraz z różową twarzą cherubina, była to, jak się współczesny pisarz wyraża, postać idealna którą poezya wieków średnich posługiwała się przy ornamentach świątyń chrześciańskich.

Twórczy talent Fryderyka już się w tym wieku przebijał. Pan Karasowski opowiadając dziecinne wspomnienia Szopena twierdzi, że gdy był stosownie usposobiony improwizacye nie wiele go kosztowały. Za to nad utworami które w późniejszym czesie przeznaczał do druku, pracował sumiennie, troskliwie a nawet ciężko. Czasami myśl jakaś, tak dalece nim owładnęła, że się stawał milczącym, posępnym, siadał w kąciku unikając ludzi i rozmów. Kiedy wszystkim zdawało się że śpi, (a słano mu łóżko zazwyczaj w salonie gdzie stał fortepian) on tymczasem zrywał się z pościeli, biegł do instrumentu, uderzał kilka akordów, potém kładł się, ażeby znowu się zerwać i tak nieraz trwało aż do świtu. Służące słysząc jak panicz po nocach wstaje, uderza w klawisze i potém znowu kładzie się, płacząc, w prostocie ducha ubolewały nad bzikiem jego.

W wycieczkach pozamiejskich z ojcem, gdy posłyszał z chaty lub karczmy rozlegające się dźwięki skrzypiec wiejskich, stawał nieruchomy, tonął duszą w sielskiéj melodyi i dotąd w zadumie słuchał aż skrzypki ucichły. W tych to wycieczkach leży cała tajemnica owego piętna narodowości, jakie cechuje wszystkie utwory Szopena. Owocem pierwszych prac kompozycyjnych były: 1. Rondo na cztery ręce. 2. Rondo à la Mazur, Sonata 4. a nadewszystko Mazury z kolei 6 i 7, które najprzód a tak świetnie imię jego po obczyznie rozniosły. W r. 1825 znów publicznie występował na koncertach amatorskich, dawanych w sali byłego konserwatoryum; grał także w tymże czasie przed cesarzem Aleksandrem I, za co otrzymał od monarchy kosztowny pierścień brylantowy.

We trzy lata późniéj t. j. w r. 1828 wyjechał z profesorem Jarockim, udającym się na zjazd naturalistów do Berlina. Pan Karasowski niezmordowany szperacz materyałów tyczących biografii Szopena w zbiorze listów i uwag podaje 3 pisane do rodziców z Berlina. Ponieważ one najlepiéj charakteryzują młodzieńca wesołego, trzpiotowatego i zaczynającego się dopiero domyślać swojéj artystycznéj wartości, pozwalamy więc sobie w wyjątkach takowe przedstawić.

„Najukochańsi rodzice i siostry moje!

W niedzielę około 3 po południu, przydyliżansowaliśmy do tego zawielkiego miasta. Z poczty zaprowadzono nas prosto do oberzy pod Kronprincem i tam dotąd stoimy. Dobrze nam tu i wygodnie. Zaraz pierwszego dnia naszego przyjazdu wziął mię pan Jarocki do Lichtensteina, tam widziałem Humbolta. Lichtenstein oświadczył mi że mię zapozna z pierwszymi mistrzami méj sztuki, żałując żeśmy dniem wprzód nie przyjechali, bo właśnie tego dnia rano jego córka grała z akompaniamentem. Mniejsza o to ostatnie, pomyślałem sobie. Czym zgadł? nie wiem jeszcze, bom jéj dotąd nie widział a témbardziéj nie słyszał. W niedzielę, w dzień naszego przyjazdu grano operę „Przerwana ofiara.“ Wizyta p. Lichtensteina nie dozwoliła być na niéj. Wczoraj miał miejsce obiad wspólny owych (dla mnie karykatur) uczonych, których tu już na trzy podzieliłem klasy, nie pod przewodnictwem Humbolta (bo ten bardzo dobrze ułożony) ale jakiegoś innego czopmistrza, którego nazwiska w téj chwili sobie nie przypominam, lecz mam zapisane pod zrobionym przezemnie jego portretem.“

Następnie szczegóły listu dotykają nowości artystycznych i opisu powierzchowności miasta, w końcu tak pisze:

„Nasze podróżne towarzystwo składało się z jednego prawnika Niemca, zamieszkałego w Poznaniu, a odznaczającego się ciężkiemi niemieckiemi żartami, i tłustego Prusaka agronoma, którego już dyliżanse (albowiem wiele podróżował) wykształciły. Taka była nasza kompania aż do ostatniéj stacyi przed Frankfurtem, gdzie nam przybyła jakaś niemiecka Korinna, pełna achów, jaów, nainów, słowem istna romantyczna pupka. Ale i to bawiło, zwłaszcza że się przez całą drogę gniewała na swego sąsiada prawnika.“

Zakończenie listu opisujące obiad uczonych i wrażenia jakie płeć piękna Berlina na nim zrobiła jest pełne humoru:

„Pan Jarocki chciał się postarać ażeby mnie puszczono na wieczór do Humbolta, alem go prosił by tego nie czynił, bo mi się to na nic niezda, a potém krzywoby na mnie mogły patrzeć inne zagraniczne głowy, gdyby między sobą ujrzały profana. Zresztą nigdy nie chcę być nie na swojem miejscu, i tak już przy stole, krzywo na mnie patrzał mój sąsiad. Był to profesor botaniki z Hamburga pan Lehmann. Zazdrościłem mu jego paluchów. Ja dwoma rękami bułkę łamałem, on jedną pogniótł ją na placek. Żabka takie miała łapeczki jak niedźwiedź. Gadał z panem Jarockim przezemnie a w rozmowie tak się zapominał, tak się zapalał że po moim talerzu paluchami gmyrał i okruszyny zmiatał. To prawdziwy uczony bo przytém miał nos duży i niezgrabny. Siedziałem jak na szpilkach podczas zamiatania mojego talerza i potém musiałem go froterować serwetą.

„Marylski za grosz gustu niema, jeżeli mówi że berlinki piękne. Są to wszystko same gołe szczęki, alias gęby bez zębów. A stroją się... szkoda owych pociętych pysznych muślinów na takie lalki irszane.“

Następne dwa listy w tymże stylu w większéj części opisują rzeczy widziane, znajomości muzyczne, teatra i koncerta. Z przytoczonych wyjątków powziąść można to przekonanie, że był to młodzieniec żywy, dowcipny i z umysłem postrzegawczym. Druga zaś część listów dowodzi że tylko sztukę miał na celu, o niéj marzył i dla niéj rodzinną Warszawę opuścił.

(C. d. n.)

SEDAN.

NA POBOJOWISKU.

Poezyo! Matko natchnienia i siły!
Ty, co do życia budzisz śpiące bryły —
Ty, co na grobach dajesz życie ludom —
Co przewodniczysz wybawienia cudom; —
O, ty, co jeńcom przypominasz lata
Kędy nie znali ni bata ni kata —
Ty, co w kolebce śpiewasz niemowlęciu
O wszechanielskiem ducha wniebowzięciu...
Poezyo! zakryj twe czoło przejasne —
Własną twą dłonią przebij łono własne —
Lutni twéj struny podrzéj na pioruny —
Szatę twą zamień na trumien całuny —
I jak Bogini zemsty i rozpaczy,
Rzuć te pioruny na głowy siepaczy!...

Poezyo — matko miłości i wiary —
Ty, co świat pieścisz na łonie ofiary —
Ty, co łzy budzisz a koisz boleści —
Ty, któréj łono światy w sobie mieści —
Ty, co na skrzydłach archanielskiéj siły,
Do życia wznosisz odwieczne mogiły —
Ty, Apostołko pokoju i cnoty,
Pełna niebiańsko-nadziemskiej tęsknoty —
Ty, co niebiosy bratasz z ziemią czarną —
Dla szczęścia ludów gardzisz chwałą marną —
Poezyo! otwórz dłońmi skrwawionemi
Grób taki wielki jak nieszczęścia ziemi —
Przestań żyć wiarą — śpiewać ludom przestań —
I w ten grób wielki połóż się — i nie wstań!...

Bo świat nie idzie, jako orłów stado,
Ku słońcu walczyć wszechwolności szpadą —
Słońca promienie rozciąć na kawały —
I niemi rozgrzać niebo i świat cały —
Zagasić w blasku słonecznéj jasności
Pożary zemsty i ognie podłości —
I fanatyzmu rozjuszone jady —
I nocnych trupów lśniące się mirjady —
A potém — widząc, te półsłońca gasnąć —
Zlać się w zdrój szczęścia — i na kwiatach zasnąć!...

Bo świat zapomniał, że ze krwi i bolu
I z łez wyrosnął — że na walki polu
Ludów miliony, siew wieków zostawił —
I białe karty dziejowe zniesławił...

Ogniem i mieczem — zbrodnią i bezcześcią —
Jękami dzieci i hańbą niewieścią,
Świat ten nie naprzód, ale w przepaść bieży —
Bezprawie siłą — a prawem nóż kata —
Siła żelaza ludzkości los mierzy...
Oto postęp świata!

* * *

Po czaszkach chodzę — żyję krwi wyziewem —
Na polu pusto, wśród trupów tysięcy...
Poezyo! czemuż twym ożywczym śpiewem
Nie zbudzisz braci, co nie wstaną więcéj!...

Cicho... lecz ucho bolejące, z drżeniem
Ostatnie echa konających słucha...
Poezyo! czemuż nieśmiertelném pieniem
W urny szkieletów znów nie wlejesz ducha?...

Tyle umarłych! Ileż kart wyrwanych
Z księgi dziejowéj i z przyszłości księgi!
To Dziejów trupy!... W piersiach krwią zalanych
Ileż zamarło i ducha potęgi!...

Każde z tych dzieci, co tu na pustyni
Ginie, ostatnie wymawiając słowa —
To wyłamana kolumna świątyni —
To dla przyszłości ginący Jehowa!...

Ileż tu dzieci, co nie znało jeszcze
Szeptów miłosnych, ni serca poranka...
Poezyo! czemuż twe akordy wieszcze
Do kochającéj nie wrócą kochanka?...

* * *

Po trupach stąpam... Tu zwycięzców kaski —
A tam skrwawione zwyciężonych stroje...
Gladiatorowie!... ale gdzież oklaski?
Olimpijskiego gdzież Raju podwoje?...

Z jękiem — bez skargi — bez sławy zginiecie,
Wy, nowych bogów uzbrojone szyki!
Nikt po was płakać nie będzie na świecie —
Lecz świat was przeklnie —
boście niewolniki!

* * *

Ale cóż widzę? czyż oko mnie myli?...
Tu dwóch żołnierzy, w uścisku ostatnim,
Dłonie złączone w pojednaniu bratniém —
Umiera razem... jakby razem żyli!

Temu na piersiach lśni francuzka wstęga —
Drugi to ułan... lecz mundur prusaka...
Za życia wrogi!... ale śmierć ich sprzęga —
Bo w obu trupach biła pierś Polaka!

Czyliż to bracia? choć ich różni szata?
Czyliż to pruskie czy gallijskie hordy?
Poezyo! kiedyż twoja lutnia zbrata
Rozdarte Polski akordy!...

Sedan, 5 Września 1870.

Henryk Merzbach.

MICKIEWICZ WE WŁOSZECH.

(Ciąg dalszy.)

Hrabia zapowiedział stanowczo dzień odjazdu na pierwszego Maja. Ewunia płakiwała po nocach. Adam posłyszał o tém, posłyszał zapewno od matki. Nie przepomniał tych łez w wielkim poemacie pisanym wyraźnie pod natchnieniem Ewuni:

Nie mogła nic przemówić, aż jéj się rzuciły
Strumieniem łzy: poznałem jak byłem jéj miły.
Pomnę pierwszy raz w życiu jam się łzami zalał,
Z radości i z rozpaczy, zapomniał się, szalał;
Już chciałem znowu upaść ojcu jéj pod nogi,
Wić się jak wąż u kolan, wołać: ojcze drogi!
Weź za syna lub zabij!... Wtém stolnik posępny,
Zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny,
Wszczął dyskurs o czém? o czém? o córki weselu!

Tak bywało nieraz w rzeczy saméj. Hrabia powtarzał często: muszę wracać do kraju, czas wydać za mąż córkę!

Słowa te raniły jakby sztyletem serce biednéj Ewuni: Adam cały drżał z gniewu.

„Czuł on ile jest piekła w obrażonéj dumie!“

Drażliwość hrabiego powiększył jeszcze list odebrany z Galicyi. „Rozchodzi się wieść“, pisał jeden z sąsiadów, „że wydajesz córkę za sławnego wieszcza polskiego.“

Hrabia rzucił list z gniewem.

„A widzisz“, zagadnął żonę z okiem iskrzącém od oburzenia, „czy nie mówiłem do czego to wszystko doprowadzi?“

Hrabina zbladła; położenie jéj nadzwyczaj było trudne. Starała się złagodzić niepokój męża, ufając że cierpliwością i słodyczą złamie w końcu wszelkie zapory.

Ostatnie dni przed wyjazdem przykre były dla Adama, i nie mniéj przykre dla Ewuni. Zdarzało się najczęściéj, że hrabia wchodził do salonu, gdy goście zebrani już byli wieczorem. Witał wtedy wszystkich z prawdziwą uprzejmością, p. Edwarda z serdeczném współczuciem, bardzo go bowiem lubił, — Adamowi tylko nigdy nie podał ręki.

Biedna Ewunia wśród tych łez i tego niepokoju, miała jednak przed odjazdem, jednę jeszcze z tych chwil słonecznych, których pamięć świeci sercu na długie lata. Dnia jednego siadała z rodzicami do stołu, kiedy nagle wpadł Adam.

„Jedźmy! jedźmy co prędzéj!“ wołał w uniesieniu, „nie mamy chwili do stracenia. W willi Doria Pamphili odkryto starożytne Columbaria. Potrzeba je zobaczyć, zaczém drudzy posłyszą o nich. Strzelecki lub inni, gotowi się dowiedzieć!... Uprzedźmy ich, a naśmiejemy się z panów archeologów.“

Wieść o Columbariach zaciekawiło żywo hrabiego. Posłał zaraz po pojazd. W mgnieniu oka znaleźli się wszyscy przed bramą starożytnéj willi. Nie małe było ich zdziwienie, gdy spostrzegli tam pana Edwarda, Strzeleckiego i całe grono znajomych.

„Gdzież te Columbaria", pyta hrabia z ukrytym gniewem domyślając się jakiéjś mistyfikacyi.

„W willi", odpowiadają wszyscy chórem.

W willi nie było Columbariów, ale było zastawione śniadanie, w sali przystrojonéj kwiatami. Należało użyć podstępu, inaczéj hrabia nie byłby przyjął zaprosin; ziomkowie zaś przebywający w Rzymie, chcieli tym sposobem wywdzięczyć się hrabiemu za miłe chwile spędzone w gościnnych jego progach.

Willa ta założona niegdyś przez Innocentego X z domu Pamphillich, jest dziś własnością książąt Doria. Gospodarze uczty wyjednali sobie na ten dzień wolny przystęp do tego uroczego przybytku sztuki. Po śniadaniu, całe towarzystwo rozbiegło się po prześlicznym ogrodzie. Puszczono wodotryski. W pośród nich, Trausteveranki w stroju rzymskim tańczyły Saltarellę. Adam z Ewunią zrywali anemony nad jeziorem: on uwił dla niéj wieniec, ona dała mu wiązkę z róż i laurów.

„Jedne za późno, drugie ze wcześnie", rzekł poeta.

Kilka godzin ubiegło jakby sen czarodziejski. Wszyscy goście hrabiego czuli się weseli i szczęśliwi: Adam improwizował pod wpływem prawdziwego natchnienia.

„Był to dzień najpiękniejszy w mojém życiu!" mówiła do nas Ewunia. „Jak będę umierać jeszcze go nie zapomnę!"

Ale i ten dzień tak uroczy, miał się zakończyć w smutny sposób. Mrok zapadł, księżyc ukazał się na niebie. Ojciec nalegał do powrotu. W tém nadbiegł posłaniec z listem do Adama; donoszono że ksiądz Parczewski, przyjaciel jego, słaby od niejakiego czasu, zachorował gwałtownie, że krew wyrzuca ustami. Hrabia i Adam pośpieszyli czemprędzéj do chorego. Wszystkim serca ścisnęły się żałośnie, młody bowiem kapłan powszechnie był kochany.

Chory umarł w trzy dni potém. Śmierć ta opóźniła cokolwiek wyjazd rodziny S. Zatrzymano się dla pogrzebu. Pochowano zmarłego w sklepieniach kościoła San Stanislao dei Polachi; widać tam dotąd kamień z napisem: Ksiądz Parczewski uczeń teologii. Przyjaciele, ziomkowie, pochowali go 3. Maja 1830 r. Napis ułożył Adam.

Nazajutrz potém hrabia z rodziną opuścił Rzym: wybrał się z powrotem do kraju. Wszyscy znajomi odprowadzili podróżnych o parę mil do Horta. Strzelecki z młodym księciem towarzyszyli im do saméj Florencyi. Adam jechał z paniami w jednym powozie. Wówczas dał Ewuni na pamiątkę poezye swoje w dwóch tomach, wydane w Petersburgu. Na okładce wypisał jéj imię i nazwisko, daléj: W dzień odjazdu z Rzymu. Adam Mickiewicz. Na pierwszéj kartce skreślił te słowa: W bramie del popolo. Wyjeżdżamy z Rzymu, nie będziemy płakać ani w dzień ani w nocy, będziemy w dobrém zdrowiu. Do widzenia!

Na drugim tomiku, w którym są Dziady, napisał wielkiemi literami: Nie wolno czytać! W Dziadach mnóstwo ustępów poprzekreślał ołówkiem na krzyż.

Co znaczyły te krzyże, pokreślone w najrzewniejszych ustępach, wywołanych innem wspomnieniem! To samo zapewne znaczyły, co te słowa poety:

Pamiątki nawet serce głęboko zagrzebie,
Aby nigdy nic nie czuć z daleka od ciebie.

Hrabiemu nie podobał się wcale ten upominek; raziło go to szczególniéj, że przed imieniem, nie było położono: pannie.

„Zkąd taka poufałość?" powtarzał zasępiony.

Smutna była chwila rozstania, tak dla Adama jak dla Ewuni. Wszystko zdawało się zapowiadać, że więcéj się już nie zobaczą. Ewunia wracała do Krakowa; Adam spieszył do Neapolu i Sycylii. Za kilka dni miał i on opuścić Rzym z przyjacielem.

Pożegnali się w Starta. W powozie pań zajął miejsce Adama Strzelecki, szczery jego przyjaciel; rozmowa toczyła się ciągle o nieobecnym. Ewunia umiała na pamięć wszystkie jego poezye oprócz sonetów; w podróży przyszła na nie koléj. Powtarzając jego słowa, mniemała że rozmawia z nim jeszcze.

Po drodze zatrzymali się w Terni; zwiedzili tam pyszny wodospad de la Marmora, najpiękniejszy z wodospadów włoskich. Dwie wielkie rzeki Vellino i Nera, rzucają się tu razem z ogromnéj wysokości, i ztąd rozbiegają się na dwie strony. Na brzegach kwitły róże. Słowiki nieznane w okolicach Rzymu, śpiewały chórem wśród cyprysów. Ewunia opisała to urocze miejsce i doznane w niém wrażenia. Hrabina posłała Adamowi ten obrazek; odebrał go w Neapolu, odczytał z radością, odpisał z uniesieniem: „Chyba Duch Święty natchnął ją, że tak pięknie po polsku napisała."

Przybyli do Florencyi. Tu doszła ich wiadomość o śmierci ojca hrabinéj. Wpłynęło to na zmianę projektów. Hrabia chcąc rozerwać stroskaną żonę, wywiózł ją na kilka miesięcy do Paryża. Zimę postanowili spędzić w Rzymie.

Adam uwiadomiony listem hrabiny o nowych zamiarach, odpisał jéj do Paryża poste restante. Hrabina sama odebrała list na poczcie, dała go córce do czytania. W nim był cudnie piękny wiersz, napisany w Neapolu, którego początek odnoszący się do wspomnień z Tivoli, przytoczyliśmy wyżéj. Ostatnie słowa malowały tęsknotę poety, mimo cudów przyrody jakie go otaczały.

Znasz-li ten kraj,
Gdzie po skalistych górach,
Strudzony muł
Swéj drogi szuka w chmurach?
Gdzie w głębi jam
Płomieniem wrą opoki,
A z wierzchu skał
W kaskadach grzmią potoki,
Znasz-li ten kraj? ach tu, o moja miła
Tu byłby raj, gdybyś ty ze mną była!

Jeżeli Adam u stóp Wezuwiusza marzył o chwilach spędzonych w Tivoli, mamy wszelkie powody do domysłów, że i Ewunia w obec przepychu paryzkiego, w pośród zgiełku i wrzawy ówczesnéj stolicy świata, zwracała z tęsknotą myśl ku cichéj, a tak wymownéj milczeniem kampanii rzymskiéj.

Paryż, jak mówi, wcale ją nie zachwycił. Odwracała z niechęcią głowę od złota i dyamentów, połyskujących w galeryach Palais Royal. Muzea Luwru wydały jéj się ubogie, w porównaniu z watykańskiemi. Gwar bulwarów ogłuszał ją, kościoły paryzkie puste były dla niéj i chłodne.

Państwo S. przebywali w Paryżu, kiedy wybuchnęła tam rewolucya lipcowa. Adam dowiedziawszy się przez gazety o tém co zaszło, rozpisał listy do wszystkich znajomych jakich tam miał, zapytując o hrabiego i rodzinę. Z listu hrabiny dowiedział się wreszcie, że obrócą drogę na Szwajcaryą, że resztę lata i część jesieni mają zamiar przepędzić w Genewie.

Jakoż przybyli tam w połowie Sierpnia. Od roku bawił w Genewie młody jeszcze bardzo Zygmunt K. przyszły autor Irydyona. Miał on liczne stosunki w świecie uczonym: znał dobrze Sismondego, autora Historyi Włoch, Boanstettena autora Studyów nad Latium. Ten ostatni przeczuwał w młodzieńcu niepospolity geniusz, wówczas już nazwał go młodém orlęciem, wróżąc świetną przyszłość z pierwszych polotów. Zygmunt drukował wtedy w Bibliotece genewsk. (1830) pogląd na literaturę polską; genialne spostrzeżenia zwróciły uwagę powszechną, i wywołały chlubny sąd Boanstettena.

Młody autor wprowadził do domu hrabiego, znakomitych przyjaciół swoich. Zebrania literackie urządziły się niebawem w gościnnych progach światłego magnata polskiego.

W krótce te zebrania ożywiły się bardziéj jeszcze. Czwartego Września przybył Adam z panem Edwardem. Serce Ewuni uderzyło mocno, gdy go ujrzała wchodzącego do salonu. Ojciec skrzywił się, cień przemknął po jego czole, a jednak z udaną uprzejmością przyjął go w domu własnym. Sprzeczne uczucia targały nim bez ustanku. Z jednéj strony duma polska nakazywała mu uczcić pierwszorzędny geniusz narodowy, z drugiéj strony, duma magnata zżymała się na myśl samą związków jedynaczki, z prostym szlachcicem zaściankowym.

Wielki poeta zrozumiał tę walkę, i odmalował ją wybornie w sprzecznych uczuciach jakie miotały sercem Horeszki. Dumny Stolnik, nie śmiał zadzierać z tym, o którym:

> Śpiewały szlachcianki:
> Oto Jacek wąs kręci, trzęsą się zaścianki,
> A komu na swym wąsie węzełek zawiąże,
> Ten zadrży, choćby to był sam Radziwiłł książe.

Minęły czasy sejmików: walka toczyła się w obszerniejszych szrankach! Któżby przebaczył zniewagę wyrządzoną Mickiewiczowi?

W ciągu dwumiesięcznego pobytu w Genewie, Adam bywał codziennym gościem w domu hrabiego. Przywiózł on Ewuni mnóstwo drobnych pamiątek zebranych po drodze; miał to być zawiązek przyszłego muzeum. Między innemi były dwa gwoździe z Pompei, maleńki Wezuwiusz w miniaturze, odlany z metalu, i ów odłamek kryształu skalnego z Mont Blanc, o którym wspominaliśmy powyżéj.

Ewunia spostrzegła wielką zmianę w jego powierzchowności. Dotąd zaniedbany cokolwiek w ubraniu, teraz nadzwyczaj był staranny, prawie wytworny. W Genewie, kraju zegarmistrzów, kupił piękny zegarek; kazał na nim wyryć herb Poraj, ozdobiony mitrą książęcą. (Mickiewicze mają mitrę w swym herbie.)

Oglądali wszyscy ten zegarek, oglądał go i hrabia. Może być że Adam chciał tym sposobem przypomnieć, że Poraj ma prawo stanąć w parze z Habdankiem.

Byłże to czarodziejski wpływ téj mitry? nie wiemy! to jednak pewne, że kilka miesięcy przepędzone w Genewie zeszły nadzwyczaj miło. Wieczorami bawiono się w gry pisane, tym sposobem łatwo było zamienić nie jedną myśl, którąby inaczéj nie wybiegła może przez usta. W pogodne dni jesienne rozpoczęły się wycieczki statkiem po jeziorze. Zwiedzono razem Vevay, Lauzanne, willę Diodatti Bayrona, Coppet pani de Stael, zamek Ferney Woltera.

Umysłowe zajęcia przeplatały zabawy. Ewunia więcéj niż kiedykolwiek zdrowa i rozbudzona, przełożyła Farysa na włoski język. Adam pochwalił pracę, sam przełożył dla niéj sonet Petrarki.

Zachęcona próbą przetłumaczyła śliczną poezyę p. Edwarda o Alpach. Podziękował jéj za to pięknym wierszem o alpejskim pasterzu. Żałujemy bardzo że go tu nie mamy pod ręką.

Prosiła potém p. Edwarda, aby dla niéj przetłumaczył sonet o śmierci starego włoskiego poety Felicio Felicaja.

Odpowiedział piosenką, oto jéj pierwsza zwrotka:

> Nie, smutnych pieśni, nie chcę ci powtarzać,
> Zkąd ci gust do nich? w samym lat rozkwicie,
> Anioł dobroci, i ty już na życie
> Tak drogie innym zechcesz się uskarżać!

Nie pamiętamy daléj, wiemy tylko że jest tam słówko tchnące otuchą:

> „Rzecz pożądana przychodzi powoli.“

Ewunia zachowała do dziś dnia wdzięczność za onę wróżbę przyjacielską, na niéj to długo budowała nadzieję, która spełnić się niestety nie miała!

Pamięć tych dwóch miesięcy spędzonych w Genewie a następnie na pograniczu Sabaudyi nad rzeką Arwą, w miejscu dziwnie uroczém, odbiło się w myśli Ewuni, jak wspomnienie straconego raju. Z każdym dniem uczucie Adama objawiało się coraz to silniéj, a jak się domyślamy i serce Ewuni, coraz silniéj téż kołatało. Widział to ojciec, i coraz grubszy cień przemykał po jego dumném czole. Mitra jakoś straciła powoli swój urok, przeważały ją widać inne względy.

(C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Poczty gołębie i Photomikroskopia.

Przesyłanie wiadomości za pomocą gołębi znane było jeszcze starożytnym; ale nigdy poczta ta tak się nie wydoskonaliła, jak przy ostatniem oblężeniu Paryża. Poczta nadpowietrzna w Paryżu, dzieliła się na dwa działy; na pocztę przynoszącą i na pocztę odnoszącą wiadomości. Z rozkazu prefekta departamentu północnego 1,100 gołębi wręczonych było przez właścicieli panu Kazimierzowi Derode. Maire Paryża przewiózł je i ulokował w Muzeum. Gołębie

te należały do tak zwan. Towarzystw gołębich, czyli gołębiofilów przebywających głównie w Raubaix i Tourcaing. Ofiarowały one bezpłatnie dla służby publicznéj usługi swych posłańców nadpowietrznych. Wychowaniem ich i strzeżeniem zajmowało się dwóch bardzo zręcznych nauczycieli, pp. Man i Leman, którzy do tak wielkiéj doprowadzili uczniów swych doskonałości, iż gołąb' puszczony w Paryżu, wciągu dwóch godzin wracał do swego gołębnika w Roubaix. Muzeum historyi naturalnéj przed oblężeniem zaopatrzone zostało w zapasy potrzebne do wyżywienia 2,000 gołębi-pocztylionów, które z początku zastępowały balony i przenosiły depesze na Północ. Żywność głównie stanowiło zboże.

Zimna towarzyszące oblężeniu, utrudniały albo nawet uniemożliwiały odlatywanie: gdyby nie ta okoliczność, komunikacya byłaby pewną i często.

Tak jak już wyżéj powiedzieliśmy, ten rodzaj przesyłania wiadomości nie jest nowym. Na początku bieżącego wieku tworzyły się towarzystwa gołębiofilów, które rok rocznie rodzaj wyścigów urządzały. Zwykle kilku właścicieli gołębi umawia się o punkt, z kąd jednocześnie wysłane być mają. Gołąb' przybywający najpierw do swego gołębnika, wygrywa zakład i swego pana robi prezesem stowarzyszenia. Ludność północnéj Francyi z zapałem oddaje się temu nowemu rodzajowi Sporku. Niektóre gołębie tak są udoskonalone, że w bardzo krótkim czasie przybywają na północ do swych gołębników, z miast na południu położonych. Próbowano nawet dwa razy wysłania do Rzymu, ale ponieważ przy przebywaniu morza i Alp wiele ginęło, dziś więcéj prób nierobią.

W ostatnich latach krzyżowaniem udoskonalono rasę gołębi znacznie; mianowicie co do szybkości lotu rezultat był nadzwyczajny. Tak np. odległość z Saint-Sébastien do Liége, z Toulouzy do Bruksselli przybywa gołąb' w dzień jeden.

Specyaliści według rachunku opartego na wielkiéj liczbie doświadczeń, oceniają szybkość lotu dobrego gołębia od 1000 do 1200 metrów na minutę, szybkość która bardzo się zmniejsza stósownie do okoliczności', np. wiatru przeciwnego.

Czas najdogodniejszy lotowi, jest odpowiadający wianiu wiatru południowo-wschodniego; powietrze przeniknięte jest wtenczas parą, przy któréj gołąb' niedoświadcza pragnienia. I z téj to przyczyny przypisać należy, że wybór miast z których wypuszczają gołębie zawsze pada na południe lub południe-wschód. Jednakże, jeżeli gołębie są wprawione, mogą przelatać przestrzenie z północy na południe.

Obuczanie gołębi jest sztuką oddzielną. Kiedy gołębiofil wykształci już uczni swoich, kiedy gołąb' przez kilka miesięcy latając w koło gołębnika zapozna się z miejscowością, przystępuje do następujących ćwiczeń:

Właściciel zamyka go w koszu szczelnym i przewozi raz pierwszy o 10 kilometrów — po każdym powrocie do gołębnika podwyższa odległość tak, że za siódmą podróżą gołąb' przebywa przestrzeń 250 kilometrów. Odległość ta w pierwszym roku nauki odpowiada mniéj więcéj odległości z Tours do Paryża.

W czasie oblężenia Paryża, publiczność często zbiegała się w punkt jeden widząc gołębia na dachu. Było to błędne przypuszczenie, że gołąb'-posłaniec znużony drogą odpoczywa. Gołąb' gdy jest blisko gołębnika, chociażby był zmęczony, całym pędem skrzydeł leci do domu, do którego drogę zna doskonale.

Niepomyślne rezultaty otrzymane z gołębi wysyłanych z Paryża w czasie oblężenia przypisać należy zimie bardzo srogiéj.

Gołębie podróżujące mają wzrok bardzo przenikliwy, pewny i subtelny; pamięć lokalną nadzwyczaj rozwiniętą. Tym dwom przymiotom przypisać należy użytek jaki nam przynoszą. Mgła gęsta osłabia wzrok ich, a zimno siły, i w takich razach łatwo błądzą z drogi. Zauważano powszechnie, że edukacya jest konieczną, gdyż bez niéj nawet na krótką odległość, mylą drogę.

Oto są główne uwagi tyczące się gołębi-posłańców. Co do ich historyi w starożytności i współczesnéj, co do przenoszenia przez nie wiadomości giełdowych, wtenczas jeszcze kiedy telegrafy nie istniały, co do historyi sportów gołębiofilów, konkursów miast i wsi północnéj Belgii, można byłoby wiele czytelnikom powiedzieć — dziś poprzestajemy na krótkiéj wymiance o użyteczności pięknego gołąbka, którego Noe za posłańca zgody i miłości użył.

Do środków komunikacyi myśli, używanych w czasie oblężenia Paryża należy tak zwana Photomicroscopia. 11 Października 1870 r. administracya poczty zawarła umowę z p. Dragon, o użycie Photomicroscopii jako środka odpowiedzi na korespondencye wysłane balonem do departamentów.

P. Dragon znany był w świecie fotografów ze swoich wyrobów mikroskopicznych, wykonanych z największą dokładnością i czystością.

Połączyć wszystkie depesze mające być wysłane do Paryża; odfotografować przynajmniéj 20,000 liter na cieniutkiéj skórce, mającéj powierzchni wzdłuż trzy contymetry; odbić wielką ilość egzemplarzy i ułożyć je w malutkie rurki z piór; przyszyć te rurki do ogona tylu gołębi, ile wypuszczonych być miało; oto był sposób używany do przesyłania wiadomości, z gorączkową niecierpliwością w Paryżu oczekiwanych. Skoro gołąb' przybył do stolicy, wyjmowano rurki, a skórkę z korespondencyą przylepiono na lustrze, umieszonem w latarni magicznéj, oświetlonéj elektrycznością. Po powiększeniu liter za pomocą szkła, przystępowano do przekopiowania i rozesłania depesz do rąk właściwych.

Dzięki procesowi Photomicroscopii, cała ta czynność odbywała się z największą prostotą. Skoro ludność Paryża dowiedziała się o nowym sposobie przesyłania depesz, nadzieja posiadania nowin z prowincyi była ogólna.

Główne warunki umowy zawartéj między administracyą poczt i p. Dragon były następujące:

P. Dragon miał obowiązek udania się balonem z aparatem fotograficznym do Clermont-Ferrand. Tam delegowany administracyi podawał depesze, które w ciągu 24 godzin miały być wysłane. Wynagrodzenie było hojne; za każdy klisz płaciła administracya 13 fr. 50 cent. Prócz tego koszta instalacyi, podróży i t. d.

Delegowany administracyi poczt, p. Fernique przybył do Tours 18, a p. Dragon 21 Listopada. Ten ostatni, wymija-

jąc wojska nieprzyjacielskie, jadąc wśród największych niebezpieczeństw utracił połowę ze swoich bagaży i przyrządów fotograficznych. Umieszczenie aparatów i organizacya służby pozwoliły zaledwie 5 Grudnia pracę rozpocząć; — 11 zmuszeni byli przenieść się do Bordeaux, tak że właściwie stałe wysyłanie depesz rozpoczęło się 15 Grudnia.

Przy pierwszych depeszach każda stronnica mieściła 1,200 liter (każda stronnica miała powierzchni jeden milli metre kwadratowy). Później i rozmiar udoskonalonym został. W ogóle 16 stronniczek ważyło pięć centygramów.

W ten sposób około 100,000 depesz wysłanych było do Paryża.

Skoro tylko administracya w Paryżu dostała do rąk rurkę z piór, zajmowała się jéj otworzeniem przez włożenie w wodę zawierającą w sobie amoniak. W tym roztworze rurka rozwijała się szybko; wyjmowano dapesze i przystępowano do procesu, o którym wyżéj mówiliśmy.

Czytanie niezajmowało wiele czasu. Depesze pisane cyframi, odczytywał dyrektor bióra — literami zaś urzędnicy.

GOŁAŃCZ.

(Z ryciną.)

Blisko miasta wznosi się zamek ozdobnie zbudowany i wysokim murem i fossą obwiedziony, pamiętny w dziejach pierwszéj wojny szwedzkiéj za Jana Kaźmierza. Tu dnia 30 Kwietnia roku 1656, gdy szpiegi wodzom króla Gustawa donieśli, że jeden kasztelan z niewielką liczbą szlachty i dwunastu chłopami obwarował się w zamku gołanieckim, dla szkodzenia z tamtąd Szwedom, książę Adolf Jan posłał oddział jazdy, aby zamek odebrać przez układy, ale kasztelan odpowiedział, że chce zginąć w murach i ognia dać kazał. Przybyło więcéj Szwedów, zaciągnięto cztery działa i bito w bramę, aż ją strzaskano. Polacy potém z ręcznéj strzelby bronili jeszcze długo przystępu, ale Szwedzi wyciąwszy palisadę, położyli most przez fosę i opanowali dziedziniec. Zaczęła się wtenczas rzeź okropna. Po kątach kryły się kobiety, które przed wojną uszły były z nieobronnych wiosek. Zbladłe, nieme z oczekiwania śmierci, niepokazywały prawie życia. Na ich szczęście, nawinął się szwedzki generał-major Byłow, a był to człowiek dobry i łagodny, wziął je więc pod swoję opiekę i odprowadził do książęcia, a ten je bez okupu puścił. Reszta co tylko oddychało, padło trupem, tak, że ani jednego jeńca nie zabrano, ani téż nikogo niepuszczono. Ci, co się schowali pod dachy i w kominy, spłonęli w pożarze, który obrócił zamek w perzynę, aż do fundamentu. Między zabitymi znajdował się pleban miejscowy X. Jan Stolicki.

W pobliżu Gołańczy niedaleko młyna prostkowskiego nad błotami Noteci, znajdują się szczątki starożytnego zamku, siedziby niegdyś familii Smoguleckich. Nadgrobki tejże rodziny, znajdują się w kościele w Smogulcu.

Wspomnieć nam jeszcze należy w téj okolicy wieś Danaborz, a w niéj zwaliska zamku niegdyś obronnego nad jeziorem, na przeciwko wsi Grylewa położonego. Tu niegdyś mieszkali Danaborscy, herbu Topor, dom znakomity zpokrewniony z Piastami Szląskimi i który stósownie do tradycyi miejscowéj tytułu książęcego używał.

Szarada.

Piękne wszystkie, autor téj szarady,
Zbudowanéj z wierszy małowartych,
Kornie pada wam do drugich czwartych,
Chcąc na kłopot pierwszy piąty rady.
Jest żonaty, żona go posyła,
Trzecie, drugie, piąte, do fryzyera,
Będzie burza jak źle podobiera...
Gdybyż która z Was go wyręczyła.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 20: *Pugilares.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Mlickiemu: Żądane dzieła Wojnarowskiéj przesłaliśmy, ale pod przypuszczalnym adresem, bo miejsce zamieszkania pańskiego jest tak niewyraźnie napisane, że wyczytać niepodobna. Posyłkę poczta zwróciła. Gdzie ją mamy przesłać? — Panu F. F. pod Kościanem: Traktat o panteistach bardzo się nam podobał, ale do pisma naszego jest nieodpowiedni. — Panu L. B. w Poznaniu: Nie zdatne. — Panu Torkwato w Poznaniu: Ponieważ pan dopominasz się koniecznie i to wsposób niegrzeczny, wyjawienia powodu dla którego wierszy jego niedrukowaliśmy, oświadczamy: Wiersze były bez żadnéj wartości. — Pani Anieli pod Gołubiem: Chętnie służyć będziemy. Czy i jak były oprawne pierwsze trzy tomy. Katalog wysłany.

Do naszych czytelników.

Mimo nader liczne zamówienia na **Pisma Wojnarowskiéj 6 Tom.** mamy jeszcze pewną ilość egzemplarzy w zapasie i dotychczas sprzedajemy **abonentom Sobótki** egzemplarz tych **Pism** 6 tom. (zamiast za 6 tal.) **za 1 tal.**, ozdobnie oprawne za 2 tal. Prosimy jednakże o spieszne zamówienia, niebawem cenę tę zamierzamy podwyższyć.

Równocześnie zwracamy uwagę abonentów Sobótki, aby kwity prenumeracyjne w r. b. pilnie chowali. Przygotowujemy abonomentom naszéj ulubionéj Sobótki nową niespodziankę, o któréj, skoro tylko ogłosimy szczegóły, nie wątpimy iż każdy abonent Sobótki korzystać zechce.

Mieczysław Leitgeber i Spółka,
Redakcya i Nakładcy Sobótki.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)